

Kochana moja

Rozmowa przez ocean



Małgorzata
KALICIŃSKA
Basia Grabowska

Małgorzata Kalicińska
Basia Grabowska

KOCHANA MOJA
ROZMOWA PRZEZ OCEAN

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-17-4

Copyright © Barbara Agata Grabowska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

[Szanowna Czytelniczko i Szanowny Czytelniku!](#)

[Real i wirtual](#)

[Jesień](#)

[Hu, hu, ha – zima zła?](#)

[Wsi spokojna...](#)

[Dom](#)

[Zaduszki, Halloween, czyli smutek i radość przy świecach](#)

[Rozwiązki, czyli patchwork](#)

[Prosta kuchnia, dobra kuchnia](#)

[Przyjaciele, czyli mizantropka z wyboru](#)

[Nostalgia-kanalia](#)

[Hejt, czyli jedna baba drugiej babie...](#)

[Kultury!](#)

[Czy mogłabyś przynieść mi pajęczka...?](#)

[Lato](#)

[Pomocy! Czyli rzecz o pomaganiu i delegowaniu zadań](#)

[Czym skorupka... czyli piękno otrzymane](#)

[Uczciwość, co to jest na dobrą sprawę?](#)

[On](#)

[Mama, tata i ja](#)

[Bida, pani kochana, czyli o stanie... niedostatku](#)

[Epilogu nie będzie](#)

Szanowna Czytelniczko i Szanowny Czytelniku!

Dziękujemy Ci pięknie za sięgnięcie po nasz zbiorek *Kochana Moja. Rozmowa przez ocean*. Celowo nawiązałyśmy do piosenki Maryli Rodowicz, bo to ładny szlagwort. Czytając, miej proszę na uwadze, że zawarte tu nasze, ubrane w te jakże przepiękną ☺ oprawę słowa, to bardzo subiektywne, nieraz egoistyczne, często gorączkowe i rozentuzjasmowane przemyślenia, urodzone na fali tęsknoty, niespodziewanej rozłąki i łaknienia kontaktu.

Mamy serdeczną nadzieję, że poniekąd Sama/Sam dołączysz do naszej nieskończonej rozmowy, zastanowisz się nad swoim punktem widzenia, uszanujesz różnice, które zapewne zauważysz pomiędzy swoimi a naszymi wnioskami. Ciesz się, droga Czytelniczko i Czytelniku, tym słowem pisanym, które – mamy na dzieję – pobudzi Cię do refleksji, a może, i chęci rozmowy z kimś bliskim czy całkiem dalekim.

Zaznaczamy, że zebrane tu rozmowy to nasze e-maile, SMS-y i transkrypty rozmów telefonicznych, które z pomocą wydawnictwa połączyłyśmy w wygodną całość, opracowane, dopracowane i wyczyszczone z niepotrzebnych przerywników i bardzo prywatnych spraw, tajemnic, by zachować estetykę, nie epatować znaną prywatnością i tym samym ułatwić Ci lekturę.

Witaj w naszym dość jednak intymnym świecie.

Basia i Małgorzata, czyli córka i mama

PS W naszej mowie matczyno-córczanej używamy różnych neologizmów, specyficznych zwrotów, kodów. Takie po prostu jesteśmy. Witaj w naszym świecie!

Real i wirtual

Kochana Moja (Mama tak zazwyczaj zaczyna, znaczy ja!).

Czy ktoś z nas kiedyś wymyśliłby taki scenariusz? Że Ty tak daleko, że będziemy się musiały w naszych kontaktach obyć wirtualnie? W ogóle czy kiedyś znałaś słowo wirtual? Bo ja – nie, a znałam dzięki mojej mamie wiele słów.

Ja urodziłam się i wychowałam w absolutnym realu. Wtedy było tylko to, co realne, dotykalne, prawdziwe. Chociaż był świat nierealny. U niektórych. Mam na myśli świat duchów, aniołów i diabłów, elfów, wilkołaków etc., bo to swoisty wirtual. Była taka piosenka Skaldów:

*Życie jest formą istnienia białka,
ale w kominie coś czasem załka.
Czasem coś świeźnie, czasem coś gwiźnie,
coś się pokaże w samej bielźnie.
Oj, dana.*

(tekst – Agnieszka Osiecka)

I nagle okazało się, że ta maszyna, która stała kiedyś w naszym domu i nazywała się komputerem, to takie drzwi, jak w Narnii, do innego świata. Ten wirtualny, nienamacalny świat jest zupełnie innym tworem niż świat duchów, bo jak się chce – to jednak można go namacać, zjeść i wypić (jak się zamówi dostawę do domu). Wielki, wielki jest świat Internetu, o którym kiedyś pisał Stanisław Lem jako o

czymś dość odległym, prawie nierealnym, czymś, co trudno pojąć i nam, czytającym o tym, wydawało się to odległą bajdą, rojeniem fantasty.

Pamiętasz, że się latami broniłam przed poznaniem zakamarków tajemnic i działania komputera? Nie był mi potrzebny w moim ówczesnym życiu, ale okazało się, że to kapitalna maszyna do pisania, więc zamieniłam pióro (ze stalówką i zielonym atramentem!) na klawisze.

Potem powoli (jak żółw – ociężale...) zaczęłam uchylać drzwi do szafy nazywanej Internetem. I... nie taki on straszny. I Ty w nim jesteś! Ktoś młody, kto czyta te słowa, myśli sobie: „O czym ona mówi?! O średniowieczu?“, moja wnuczka nie będzie wiedziała, o czym mowa, jak powiem jej, że kiedyś, dawno, dawno temu, gdy nie było jeszcze Internetu...

Dzisiaj Twój brat opowiada znajomym, że mamie może wysiąść pralka – wtedy upierze przy pomocy staroświeckiej tary, którą ma po babci, może wysiąść lodówka, odkurzacz (najwyżej polata na miotle i mopie), ale jak znika sieć – zaraz alarm i wścieklica, telefon do operatora i tupanie. Prawda!

Umiem poradzić sobie bez wielu rzeczy, ale bez Internetu, telefonu – ciężko. Głędzić przez telefon raczej nie głędzę, żadne tam „Lalka, i słuchaj no, co... no i on wtedy...”. Sama wiesz, krótko, zwięźle, ale jak się ma rozproszoną rodzinę, jak się sporo jeździ, to telefon, ta nitka, która łączy z Wami, a czasem koło ratunkowe, jest rzeczą bezcenną. A jak już odkryłam wirtualne sklepy ogrodnicze, spożywcze i inne, aukcje i bazarki – to korzystam pełnymi garściami, bo, jak wiesz, u mnie na wsi nawet spożywczaka nie ma. Kurierzy po całym świecie rozwożą towary kupione w sklepach internetowych. Klik! I już zamówiłam czterdzieści sadzonek rudbekii w kilku kolorach, pięć drzew owocowych, pięćdziesiąt sadzonek róży fałdzistolistnej, pięć sztuk gunnery i nasiona prosa włosowatego. Ja wiem, że nie masz pojęcia, o czym piszę, ale jak się domyślasz – to kwiatki do ogrodu moich przyjaciół. Przyszła wielka paczka świetnie zapakowanych roślin! Zdumiewające, proste, nie musiałam jeździć po Polsce. Choć wiesz... są i cienie. Szukałam niewielkiej szklarni, znalazłam sklep w Warszawie, a kiedy byłam tam przy okazji – zajrzałam, żeby owe szklarnie obejrzeć. Wielki budynek, w nim jakieś wydawnictwo i kilka firm. Ledwo znalazłam malusi kantorek po nazwie owego sklepu ogrodniczego, a tam tylko człowiek z laptopem. Ot i cały sklep... Zamawiam, on pisze do producenta, od którego kurierem, bez macania czy dotykania towaru (buuuuu!) paczka sobie idzie do mnie. No, też coś!

To też ogromne pola kompletnie przeze mnie nieeksplorowane, niewidzialne, jakieś ogromne zasoby filmowe, muzyczne, bimbaliory i portali i jeszcze jakieś, z których nie korzystam, których nie znam. Gry mnie nie bawią, ściąganie filmów czy muzyki też nie, za to zdobywanie wiadomości – jak najbardziej. To jest fascynujące! Kiedyś to była wyprawa w głąb encyklopedii, stała w domu trzynastotomowa i w niej można było znaleźć wiele, a jak mało, to trzeba było jechać na Koszykową do biblioteki publicznej i tam, złożwszy zamówienie, czekać, aż pani przytaszczyła potrzebne książki. A teraz... Wrzuca się kilka słów określających sprawę i się ma za kliknięciem! Załączone linki prowadzą dalej, głębiej. Można niemal studiować. A społecznościówki? To całkiem nowe socjologiczne zjawisko. Właśnie wiodłam dyskusję z Siwym, czy znajomi z Naszej Klasy albo Facebooka (czy innych tam) to znajomi, czy jednak nieznajomi? Jak silne więzi można zadzierzgnąć z kimś, z kim nigdy nie uściśnęłam dłoni, nie widziałam oczu i tego wspaniałego *body language*, który jest potrzebny, żeby w pełni poznać człowieka. Jego miny, wzruszenie ramion czy sposób, w jaki poprawia włosy. Nie tylko to, jakie ma myśli, jak je przekazuje, pisząc maila czy komentarz pod jakimś postem. Całość wiele mówi o człowieku i o tę część realu osoby poznane w necie są uboższe.

Siwy sceptycznie odnosi się do takich znajomości i... ma rację. Kiedyś wirtualnie były listy, zwłaszcza te pisane długo i obszernie przez osoby oddalone od siebie czasem nawet na zawsze. Abelard i Heloiza, Ewelina Hańska i Balzac oraz miliony innych korzystających z poczty, poczmistrzów i dyliżansów pocztowych. Papier, pióro, kałamarz, lak i pieczętka, a później koperta i znaczek, i pisanie, pisanie, poznawanie się, mówienie literkami kładzionymi skrzypiącym piórem. I czas – czekanie na odpowiedź. Niektórzy korespondenci nie widzieli się nigdy, inni z rzadka.

Znam dzisiaj wiele osób, które, poznawszy się w necie, zapragnęły spotkania w realu. I jak wiesz, różnie to potem bywa. Niemniej pamiętam moje początkowe spotkania z Siwym w necie, gdy każdy poranek oznaczał maila od miłego korespondenta, a ja każdego dnia po południu na taki list odpisywałam. Rozmawialiśmy o wszystkim znacznie soczyściej i bardziej wyczerpująco niż inni w realu na sporadycznych spotkankach przy kawie. No i te spotkania w ogóle nie byłyby możliwe, bo dzieliło nas dziewięć tysięcy kilometrów! Dzisiaj też wiodę jakieś korespondencje z ludźmi z innych miast i kontynentów i nazywam ich „znajomymi”, ale czy faktycznie to są znajomi?

Zawsze też pozostaje ta świadomość, że wystarczy brak zasięgu, przerwa w dostawie prądu albo zwykłe kliknięcie w wyłącznik, żeby te kosmosy, galaktyki wiedzy i zbiorowości ludzkie zniknęły! Jak mydlana bańka. Pfff i nie ma!

Dla Ciebie to norma, bo się w tym świecie wychowałaś, a dla mnie kolejne zdziwienie. Zresztą dla Was zdziwienie to moje życie niegdysiejsze, bez Internetu, telefonów komórkowych i paszportu w szufladzie.

Dla mnie – życie mojej mamy bez radia, pralki, osobistego samochodu, bez chłonnych podpasek. Jak ONI (ludzie z przeszłości) żyli?!

Ja dzisiaj dziękuję Internetowi nade wszystko za to, że umożliwia mi wirtualny kontakt z Tobą. Jesteś tak bardzo, bardzo daleko, a mogę widzieć Twojego buziaka, rozmawiać bez tygodniowego poślizgu. Co by to było, gdyby list szedł pocztą, a już dyliżansem i statkiem czy gołąbkim...? A tu – klik i poszło! Na Gadulcu czy Skype można paplać tak bardzo blisko i szybko, bezpośrednio, i jeszcze widzieć Twoje miny na filmikach! I tylko... nie mogę Cię dotknąć ani przytulić. Bo pomimo żeś stara baba, moja piękna Trzydziestko, mam stale potrzebę przygarnięcia Cię, jak wtedy, gdy bywałaś na wyciągnięcie ręki. Funkcji „przytul” net jeszcze nie ma...

Kończę, Kochanie, muszę się wziąć za realny obiad, nie zamawiam cateringu przez Internet, tu jestem nadal staroświecka.

Całuję.
Mama

Dzisiaj będzie kapuśniak, bardzo domowy, na kacze. Dam Ci przepis, bo kiedyś chciałaś. Bardzo domowy, bo to Siwy u nas kapustę kisi.

W lodówce miałam pół kaczyniej piersi, którą podsmażyłam z czosnkiem i cebulą, zalałam szklanką piwa i poddusiłam. Potem wrzuciłam wielką garść owej kapuchy, ciut majeranku (rośnie mi w ogródku), garstkę włoszczyzny julienne i to się pogotowało. Na kacze, mówiłam Ci to, wywary są smaczne i wyraziste. Ale o tym kiedyś.

Na drugie danie zrobiłam łososia „spod ręki”.

Na patelni łyżka masła i oliwy, cebula i czosnek. Potem wrzuciłam pokrojoną dość drobno, w paseczki, paprykę (z ogrodu, już ostatnie strączki wiszą) i pomidorki koktajlowe, też z hodowli – z wielkiej donicy, którą mam na tarasie.

Podlałam wodą i poddusiłam. Potem włożyłam łyżkę śmietany (może być crème fraîche) i zamieszałam. Na to pokrojonego w kostkę łososia, garść kopru.

Kopru mam w zamrażalniku dwa pudełka na zimę.

Czy tam u Was rośnie koper?
Dziesięć minut pod przykrywką, potem już tylko ugotować jakieś penne na
sposób włoski, czyli *al dente*, i wrzucić na patelnię z tym łososiem i warzywami.
Kocham Cię łososiowo – Mama

* * *

Mamuś!

A pamiętasz, jak w domu tata postawił pierwszego Commodore'a 64? Rany, jaki to był szal! Uwielbiałam grać w Olimpiadę, w Kaczora Donalda, który pakował owoce do skrzynek, Boulder Dash (ten termit, co zbierał diamenty) i milion pięćset sto dziewięćset innych gier, które tata z uporem godnym lepszej sprawy taszczył regularnie z komputerowego bazarku na Grzybowskiej na dyskietkach ośmiocalówkach. Godzinami mogłam machać tym nieszczęsnym joystickiem, choć oczywiście „godzinami” to nie było nam wolno. Pilnowałaś, żebyśmy się nie utopili w tym wirtualu na dobre i chwala Ci za to po wsze czasy, bo dziś uzależniona od komputera nie jestem nawet odrobinę. Nie zrozum mnie źle, bardzo doceniam fakt, że mam tego swojego zmęczonego życiem laptopa i dostęp do Internetu. Bez tego wiele codziennych, rutynowych czynności nie byłoby możliwych albo byłyby mocno utrudnione i niewygodne. Ale kiedy wracam do domu, nie czuję biologicznej potrzeby sprawdzenia maili, ważne wydarzenia w moim życiu nie wiszą na ścianie mojego facebookowego konta, a moje wirtualne CV nie było aktualizowane od jakichś trzech lat. Wiem, powinnam być „obecna” w wirtualu częściej, zwłaszcza teraz, kiedy jestem tu, w Sydney, a w Polsce są ludzie, którzy za mną tęsknią, kochają, myślą i piszą. A ja – wstyd przyznać – mam na mailu wiadomości sprzed dwóch miesięcy, na które jeszcze nie znalazłam chwili i ochoty, żeby odpisać...

Wiesz, dla mnie to jest trochę tak jak z wyjściem na miasto, do klubu. Jest głośno, wesoło, dużo się dzieje, ludzie na lewo i prawo, rozmowy, ploteczki, obrazy i dźwięki, zawrót głowy, endorfiny. A potem wracasz do domu, zapalasz światło i orientujesz się, że jesteś w tym domu... sama. Jest pusto i cicho, euforia powoli wyparowuje z głowy, ludzi nie ma, choć przed chwilą byli, jazda na karuzeli się skończyła, więc wracasz do życia, którym jest Twoje łóżko, kanapa, niedojedzony obiad i zaplanowana na jutro wizyta u babci.

I ja się tak czuję, kiedy zamykam laptopa. Te dwie czy trzy godziny, które spędziłam w sieci, jakby się nigdy nie wydarzyły. Ci ludzie, z którymi rozmawiałam, tak naprawdę nie są z mojego świata, te obrazy, które widziałam, do jutra zapomnę. Nie traktuję tych trzech godzin jako przeżycia (z akcentem na „życia”), ale jako przerwę w... życiu, czas w dużej mierze stracony, nie do odzyskania.

Chyba nie pomyłę się, stwierdzając, że nie prasa, nie telewizja, ale właśnie Internet jest w tej chwili największą władzą i potęgą. Od zawsze przecież mówi się, że „telewizja kłamie”, a prasa to sam Photoshop, czemu więc Internet miałby być inny? Fakt, Internet jest tworzony nie tylko przez korporacje i agencje reklamowe, ale także przez pojedynczych ludzi, przez jednostki nieraz cenne, nieraz plugawe, a naszą decyzją jest, po co w tym Internecie sięgamy i do czego go użyjemy.

Wiesz, Mamuś, nie mogę się tu opędnąć przed górnolotnym i pompatycznym może porównaniem, że Internet jest trochę jak dar wolnej woli, którą Bóg dał ludziom. Możemy z nim robić, co chcemy, możliwości są nieograniczone, a pokus mnóstwo. Ale to, co zrobisz, wystawi Ci świadectwo jako człowiekowi. Z tą tylko różnicą, że z grzechów jesteśmy jednak (podobno) rozliczani i karani za nie, a w Internecie grzeszyć można bez żadnych konsekwencji. To mnie i smuci, i przeraża,

zwłaszcza kiedy widzę, jak „odważni”, a często okrutni i bezwzględni są ludzie, gdy przykrywa ich płaszczyk anonimowości. Brzydzę się tym i unikam jak ognia, bo sama jestem słabą jednostką, którą pokusy też nieraz ciągną w złą stronę.

Wybacz mi więc, Mamuś, że znów nie odpisałam Ci na któregoś maila! Daję słowo, że wszystkie czytam, głównie na telefonie, kiedy siedzę w pociągu w drodze do szkoły albo w pracy, w kąciku komputerowym, kiedy mi się przerwa na lunch przeciąga. I czytam, i wzdycham, i czasem nawet chlipnę pod nosem, otrę łzę, bo strasznie mi Ciebie brakuje i oddałabym wiele, aby te cholerne maile zamienić na normalne pogaduchy nad kapuśniakiem. Wiele bym oddała, żeby na ten kapuśniak móc tak zwyczajnie przyjechać tramwajem...

U nas kapustę kiszoną znaleźć ciężko. Zdarza się taka w słoikach, ale to nie to samo, co beczkowa spod Hali Mirowskiej...

Pa...

Jesień

Kochana Moja!

Zaczyna się jesień. Pamiętasz ją jeszcze – nagle zieleń się przebarwia, załamuje, i zaczyna się żółknięcie, czerwienienie, brązowienie liści i traw. Te mdłe kolory – oliwkowy, brązowy, szary, beżowy – zaczynają ożywać w towarzystwie krwistej purpury i wszystkich odcieni oranżu, cytryny, żółci, aż do efektu złocistości, do ugru.

Pamiętam taki właśnie październikowy widok gór koło Istebnej, a i na płaskim Mazowszu tak właśnie przebarwiają się parki w miastach i lasy podmiejskie. Pamiętam, jak w Egipcie pewien młody Egipcjanin pokazywał mi swoje zdjęcia z ówczesnej Jugosławii, gdzie był u jakiejś znajomej akurat w czasie takiej barwnej jesieni. Był oczarowany tymi kolorami drzew, opadłymi liśćmi, w których brodzili prawie po kolana, i mówił: „Czy ty kiedykolwiek widziałaś coś równie pięknego?!”. Nie dowierzał, gdy mówiłam, że nasza polska złota jesień stąd właśnie, z tego piękna i kolorów, ma swoją nazwę.

Od zawsze to ukochana pora roku grzybiarzy. Kilka razy byłaś z nami na grzybach, przyznam, że rzadko, ale czy kojarzysz to jeszcze? Wyjazd z miasta tylko po to, żeby zapolować w lesie na kozłarze, maślaki, prawdziwki, opieńki, żeby chodzić po pachnącej, wilgotnej ściółce, wypatrywać grzybnych łebków i ścinać je kozikiem. Ty chodziłaś z tatą, Stasiak ze mną. Najpierw narzekaliście, że ich nigdzie nie ma! A potem nauczyliście się rozróżniać wśród liści ten specyficzny kształt. Szczególnie trudno znaleźć czerwone kozłarze pod brzoziakami, listki kłamią-mamią.

Wiesz, w naszym pobliskim lesie, malutkim, ale „dobrze wyposażonym”, był w tym roku wysyp! I nagle stanęłam przed problemem *embarras de richesses*! Po co nam tyle tego?! Nie przejemy tego. Suszyłam – ach, ten dziwny zapach suszonych grzybów! Resztę utopiłam w occie. Ciebie nie ma blisko – a Ty tak chętnie zjadasz grzybki w occie...

I co jeszcze o jesieni? Vivaldi, Moja Droga, *Cztery pory roku – Jesień* w niebywałym wykonaniu Nigela Kennedy’ego właśnie mi towarzyszy, gdy piszę do Ciebie ten list. Jak on to interpretuje!

Chełmoński na obrazach taki ciepłojesienny i wiejski, zwłaszcza *Babie lato*. A Jerzy Duda-Gracz też namalował *Babie lato*, po swojemu (odwołując się wesoło do Chełmońskiego). To taka wielka, leżąca grubaska. Uśmiecham się, patrząc na nią. No i kalosze – jesienne obuwie konieczne tu, na wsi, wspaniałe na spacer i prace w ogrodzie. Podobno królowa Elżbieta też na spacer z psami chodzi w kaloszach ☺.

Wiesz, ile jest pracy w ogrodzie? Opatulenie tegorocznych nasadzeń, okrycie wrażliwców, przesadzanie tego, co się nie komponuje, bo to dobra pora na to. No i grabienie liści, prawie syzyfowa praca. Tu najlepiej sprawdzają się wielkie, drewniane grabie. Siwy rozpala ognisko. Nazywamy je Stonehenge, bo otoczone jest wielkimi kamieniami. Oboje to lubimy – rozpalamy ognisko i wozimy taczka liście. Początkowo bucha para, biały, słodko-wędzony dym niesie się po łąkach. Raczej niedozwolony, bo wiesz...? Nie wolno właściwie palić ognisk! Choć oczywiście w kominku możesz spalić wszystko, łącznie z oponą. To głupie zarządzenie, chociaż rozumiem intencje – żeby nie zaprószyć, nie wypalać łąk, nie zwodzić pszczół, ale ognisko...? Żeby spalić kilka patyków i kupę liści? Kiedyś zawsze na polach palono lęty ziemniaczane po zbiorach, resztki w ogrodach... A teraz nie wolno? Jakaś aberracja. U Was to rozumiem. Znów widzę w wiadomościach, jakie tam w okolicach szaleją pożary, ale u nas mokro, jesienią. Tak więc może postępujemy źle, jednak jesienią palimy wieczorem te ogniska (dwa, trzy, nie więcej) i... wiem, wiem, tupniesz nogą w dziecięcą złość, pakujemy do popiołu ziemniaki. Teren spory, więc dochodzą akurat na koniec pracy. Wówczas siadamy na ławeczce, grabie leżą obok, wieczór jeszcze ciepławy, mokry, ale nie lodowaty, zresztą przy ogniu świetnie się siedzi. Pojadamy te ziemniaki z grubą, morską solą i popijamy piwem. Mówimy o Was – o naszych dzieciach. Jako związek „z odzysku” mamy Was czworo – chłopaki Siwego, i Wy – moje dzieciśka. Wspominaliśmy nie dalej jak przedwczoraj przy ogniu takie właśnie grzybobrania, wypadki jesienne do lasu, do parku, po skarby. Wycieram chusteczką nos i brudne palce, Siwy też, choć on zawsze mniej się brudzi, i tak tęsknimy za Wami, siedząc przy ognisku. Czujesz klimat?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI